Nr. 33. Sobota, dnia 12-go sierpnia 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dziewiątą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Pawła do Koryntyan rozdział X, wiersz 6—13.

Bracia! Te rzeczy stały się w figurze naszej, abyśmy złego nie pożądali, jako i oni pożądali: ani się stawajcie bałwochwalcami, jako niektórzy z nich; jako napisano: Siadł lud jeść i pić i wstali igrać. Ani się porubstwa dopuszczajmy, jako niektórzy z nich porubstwa się dopuścili i legło dnia jednego trzy i dwadzieścia tysięcy. Ani kuśmy Chrystusa, jako niektórzy z nich kusili, i od wężów poginęli. Ani szemrajcie, jako niektórzy z nich szemrali, i poginęli od zatraciciela. A to wszystko przydało się im w figurze, a jest napisano dla napomnienia naszego, na które przyszły końce wieków. Przeto kto mniema, żeby stał, niech patrzy, aby nie upadł. Pokuszenie niechaj was nie zajmuje, jedno ludzkie; lecz wierny jest Bóg, który nie dopuści kusić nad to, co możecie, ale z pokuszeniem uczyni też wyjście, abyście znosić mogli.

EWANGELIA.

u św. Łukasza rozdział XIX, wiersz 41—47.

W on czas, gdy się przybliżał Jezus do Jeruzalem, ujrzawszy miasto, płakał nad nim, mówiąc: Iż gdybyś i ty poznało, i w ten dzień twój, co jest ku pokojowi twemu; a teraz zakryto od oczu twoich. Albowiem przyjdą na cię dni, i obtoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblegą cię, i ścisną cię zewsząd, i na ziemię cię obalą i syny twoje, którzy w tobie są a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu: dla tego, żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego. A wszedłszy do kościoła, począł wyganiać sprzedające w nim i kupujące, mówiąc im: Napisano, iż dom mój, dom modlitwy jest. A wyście go uczynili jaskinią zbójców. I nauczał codziennie w kościele.

NAUKA.

Było to w Niedzielę kwietnią, kiedy lud, śpiewając Panu Jezusowi „Hosanna”, zgotował Mu tryumfalny wjazd do Jerozolimy; Pan Jezus, otoczony hołdującymi Mu tłumami, spojrzał na wspaniałe miasto, w którem niegdyś dziady i pradziady Jego (według ciała) królowali, i do którego i On teraz, jako prawdziwy król, choć nie z tego świata, wjeżdżał. Sercu Jego nic nie jest obcem, cokolwiek w ludziach jest zacnego i szlachetnego, bo On we wszystkiem stał się podobnym do nas ludzi, oprócz grzechu; więc o ile jest człowiekiem, szczerze i serdecznie kocha kraj swój rodzinny, i ozdobę i chwałę tego kraju, i miasto święte. Ale zarazem jest On Bogiem, nic niemasz przed Nim ukrytego i przyszłe rzeczy są przed Nim jawne, jak i teraźniejsze i przeszłe; zna On sprawiedliwe wyroki Boże. Czyni, co może, żeby ochronić miasto i naród swój od zagłady, tak, iż sam pyta przez proroka: „Co jest, com więcej miał czynić winnicy mojej, a nie uczyniłem jej?” Własnemi też usty żali się: „Jeruzalem, Jeruzalem... ilekroć chciałem gromadzić syny twoje, jako kokosz kurczęta swoje pod skrzydła zgromadza, a nie chciałaś.” Widzi Pan Jezus, że i ta ostatnia pomoc, z którą spieszy teraz do miasta swego, będzie daremną, i że już niechybnie spełnią się wyroki Boże; żal ściska Mu serce, łzy płyną z oczu; ale darmo, bo i sam Bóg nie chce nikogo zbawić bez jego z łaską Bożą spółdziałania. Czy dusza twoja nie jest podobną do tego Jeruzalem? Pan Jezus tyle czyni dla ciebie, żeby cię odwieść od grzechu i pociągnąć ku sobie i niebu swemu, a ty wszystkim łaskom Jego się opierasz, i zamiast sprawiać Mu pociechę, łzy Mu tylko z oczu wyciskasz i boleścią Serce Jego napełniasz. Ostróżnie; zapłasze może Pan Jezus nad zgubą twoją, jak płakał nad Jerozolimą; ale wyroków sprawiedliwości względem ciebie nie odmieni, jeżeli ty się na lepsze nie odmienisz.

Pan Jezus nie ma serca ciasnego, jako my; u Niego Serce jest wielkie i szerokie, i obejmuje miłością swoją nietylko jeden żydowski, ale wszystkie narody, bo jak mówi Psalmista; „narody dziedzictwem Twojem, a posiadłością Twoją krańce ziemi”. Umiłował i kocha Pan Jezus i nasz naród, i jak w ubiegłych wiekach, tak i teraz daje tego liczne i niezbite dowody. Od stu lat już i nas nawołuje Pan Jezus, jak niegdyś Jerozolimę, mówiąc: „Gdybyście i wy poznali, i w ten dzień wasz, co ku pokojowi waszemu: a teraz jest zakryto od oczu waszych”. Zamiast ubywać, wciąż nam przybywa stronnictw, kłótni, swarów; niemasz pomiędzy nami jedności, ani zgody, bo „wszyscy, co ich jest, szukają: nie co jest Jezusa Chrystusa”. Wszędzie górą prywata, która u jednych jest żądzą popularności i pustego rozgłosu, u innych uporem przy własnem widzimisię, u innych chęcią wyniesienia się, albo gorzej jeszcze, prędkiego bez pracy dorobku i dobrobytu. Zamiast ubywać, przybywa gnuśności i obrzydliwego lenistwa, że poczynamy wiele, ale niczego nie kończymy — że cokolwiek robimy, robimy byle się zbyć, nieporządnie, i rzadko kiedy na czas. Lenistwo to nasze sprawia, że niczego, bo nawet wiary naszej nie znamy dokładnie i gruntownie, każdy potrzebuje mieć kogoś, kim się wyręcza, bo samemu do niczego nie chce się ręki przyłożyć; cokolwiek mamy czynić, zawsze odkładamy na później, nigdzie niemasz ładu, porządku, ani akuratności. Był nierząd i jest nierząd w miastach, po wsiach i gminach, tak samo jak w rodzinach i domach i warsztatach; jest nierząd nawet w głowach, sercach i kieszeniach, bo niemasz ludzi, coby chcieli i umieli pracować wytrwale głową albo ręką. Zamiast ubywać pod ciężącą na nas ręką Bożą, przybyło i wciąż więcej przybywa rozpasania obyczajów i wszelkiej niewstydliwości. Źle było i bardzo źle pod tym wzglę-

dem za dawnych czasów, obecnie niestety jest znacznie gorzej, kiedy jawnie i bez wstydu rozpusta panoszy się po pułkach księgarskich i w wystawach kupieckich, kiedy po teatrach i salonach gorszące rozmowy i gorsze od nich półsłówka i dwuznaczniki uchodzą za szczyt dowcipu, kiedy wciąż mnożą się bezwstydne przybytki wszelkiej swawoli, kiedy sążniste afisze młodych i starych zapraszają na widowiska i zabawy najgorszego rodzaju. I to wszystko dzieje się jawnie; tak zwana opinia publiczna na to głucha i ślepa; a niech który ksiądz z ambony odważy się te nadużycia, choćby w najdelikatniejszy i najoględniejszy sposób, napiętnować — wtedy matki i ojcowie z oburzeniem żalą się, że ksiądz gorszy im dzieci nierozumnym swoim fanatyzmem; a tymczasem te biedne dzieci, jedne od służby, inne od starszego rodzeństwa, inne z książek i ilustracyi przez własne matki czytywanych, inne na ulicy i przy oknach sklepowych, a ostatecznie prawie wszystkie od kolegów i koleżanek dowiadują się tyle, że nieraz małe chłopię więcej w tych brudach ma doświadczenia, niż dawniej miewał starszy już bywalec. Niejeden młody jeszcze się nie rozwinął, a już więdnąć poczyna; przedwcześnie zużyty już nie rwie się do życia, ni do chlubnych czynów; serce w nim wystygłe nie jest już zdolne do miłości, ani do poświęcenia; zamiast szczytnych ideałów spotkasz tam tylko sarkazm, ironię, i zwątpienie o wszystkiem i wszystkich. Śród takiego zepsucia chyba niebywałym cudem Bożym byłoby, gdyby wyrosło pokolenie, zdolne do zbudowania czegokolwiek, a nie do burzenia tylko. Niezgoda, nieróbstwo i rozwiązłość oto nasze wady! Z temi trzema wadami, chociażby Pan Bóg karać nas nie chciał, żadną miarą ostać się nie możemy. Jedno mogłoby nas poratować, Wiara święta; ale cóż, kiedy ta wiara u nas niesłychanie płytka i słaba; płytka, bo znajomość wiary powierzchowna i połowiczna; słaba, bo w życiu i całem postępowaniu naszem przy lada trudności odstępujemy zasad wiary, by pójść za lada podszeptem, obiecującym najmniejszą dogodność, albo przynajmniej wywikłanie się z jakiej trudności!...

„Wszedłszy do kościoła, począł wyganiać przedające w nim i kupujące". W kościołach naszych źle nieraz się dzieje i pełno jest ludzi, co wszędzie umieją się zachować przyzwoicie, tylko w domu Bożym zachowują się tak, że niewiem, czy w tem więcej znieważają Boga, czy też kompromitują samych siebie. Ale gorzej jeszcze w niedziele i święta nasze, w które pospolicie ludzie więcej grzeszą, niż w którykolwiek dzień powszechni, a co arcysmutne, znać u nas szabasy i święta żydowskie, ale prawie już nie znać świąt i niedziel katolickich, tyle w nie bywa kupczenia i zarobkowania. I dziwują się ludzie, że nie masz błogosławieństwa Bożego na ich zabiegach i na zarobkach naszych. Jeżeli masz Boga w sercu, i jeżeliś prawy katolik, trzymajże się i ty sam, i wszyscy którzy od ciebie zależą, tego hasła:

Prawy katolik w niedzielę i święta
O Mszy, kazaniu sumiennie pamięta,
Nic nie kupuje i nic nie sprzedaje,
Sam nie zarabia, zarobku nie daje.

X. J.

Z braćmi w szeregu stań na wspólnej roli,
Do pracy wspólnej, nie do skarg i waśni;
Pomóż im dźwigać brzemię ciężkiej doli
A bratni uśmiech czoło ci rozjaśni.

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

XIV.

O godzinie dziesiątej wszyscy byli gotowi do drogi. Pani Katarzyna, mająca pozostać w domu, z rozkoszą przyglądała się z ganku dzieciom swoim ukochanym, przechadzającym się po podwórzu. Serce jej rozpływało się z radości.

Miała też z czego być dumną! Placyd w granatowym i ponsowym swym mundurze rzeczywiście rycerską miał postać; Milki zaś piękność była zbyt uderzającą, aby nie zwracały się na nią wszystkie głowy jak chorągiewki na dachu.

Ale dziewczynka zmieszana była i roztargniona; spojrzenia jej ciągle zwracały się w stronę Costo-Rasto w nadziei, że ujrzy tam swojego narzeczonego. Niepokój wstąpił do jej serca; miała jakieś niedobre przeczucie i ze strachem myślała o tem, że Piotruś od czterech już dni nie pokazał się na folwarku.

Placyd spostrzegł to jej wzruszenie, ale nie chciał go zwiększać rozmową o Piotrusiu. Zaczynał więc mówić o najróżniejszych rzeczach myśląc, że ją tem rozerwie. Nareszcie widząc bezskuteczność swych usiłowań, zapytał ją otwarcie:

— Cóż, siostrzyczko, na seryo niepokoisz się o swojego narzeczonego?

— Obawiam się, czy mu się co złego nie stało. Od czterech dni tu nie był, chociaż wie, że ty jesteś. Musiało się mu coś przytrafić i tego właśnie się lękam.

— Uspokój się. Cóż mu się złego stać mogło? Zresztą nie trudno się dowiedzieć. Pójdę do Costo-Rasto i dowiem się, a jeżeli go zastanę, sprowadzę ci go tu jako jeńca.

I nie czekając odpowiedzi, pobiegł wprost przez las najkrótszą drogą, którą znał doskonale, gdyż dzieckiem jeszcze będąc, chodził nią często, wybierając ptasie gniazda.

W małe pół godziny był już z powrotem.

— I cóż? — pytała Milka zaledwie go spostrzegłszy.

— Piotruś nie przyjdzie dzisiaj — odrzekł Placyd.

— Boże mój!

— Nie lękaj się, tylko matka jego jest chora.

— Matka! — westchnęło dziewczę. — Nie on. A czy bardzo chora biedna kobieta?

— Terradowie nie wiedzą dokładnie. Tyle tylko powiedział im umyślny posłaniec, który dziś rano przyszedł do Costo-Rasto. Piotruś prosił, żeby i nas o tem zawiadomili, ale nie mieli kogo przysłać, bo cała służba poszła na jarmark. No cóż, siostrzyczko, będziesz już spokojniejszą teraz?

— Nie, mój bracie; nie wiem dlaczego, ale przeczuwam jakieś nieszczęście.

— Po co to dręczyć się naprożno. Kiedy ci tak wiele na tem zależy, to mogę ci powiedzieć, że Piotruś będzie tu z pewnością po południu.

— A ty skąd wiesz o tem?

— Od tego samego posłańca. Cóż to, nie wierzysz mi, siostruniu?

— Przebacz mi, braciszku, ale gdybyś wiedział, jak się lękam o niego!

— Jedynie z tego względu przebaczam ci, panno Emilio — odrzekł żołnierz z komiczną powagą.

XV.

Ponieważ Milka objawiła chęć czekania w domu na Piotrusia, Pascal i siostrzeniec jego sami udali się na jarmark.

Stary dosiadł swojego kucyka, Placyd szedł pieszo obok niego.

W ciągu podróży, trwającej pół godziny, Pascal nie ominął nikogo ze znajomych, aby mu nie przedstawić swojego siostrzeńca, którym pysznił się bardziej, aniżeli swem zbożem i winnicą, co jak na wieśniaka nie jest małą rzeczą.

Przybywszy do Saint-Alvere, umieścił kucyka w stajni, a wziąwszy siostrzeńca pod rękę, wmieszał się w tłum narodu zapełniającego plac targowy. Chodzili tak z miejsca na miejsce, oglądając bydło wystawione na sprzedaż a handlarze wołów z pewnym rodzajem uwielbienia przypatrywali się dziarskiemu siostrzeńcowi ojca Lorin.

Gdyby młody wachmistrz był dumnego usposobienia, z pewnością naraziłby się niejednemu, tyle mu zazdrościło stopnia i pięknego munduru — ale uprzejme jego obejście jednało tych nawet, którzy mogli czuć się dotkniętymi imponującą postawą Pascala, o co wcale nie trudno przy właściwej wieśniakom drażliwości.

Owszem, podoficer nasz podobał się wszystkim i niejeden mówił, chwaląc jego rycerską postawę.

— Dzielny to chłopak i dobrze mu z oczu patrzy; ojciec Lorin może być dumnym z takiego siostrzeńca.

Wuj prowadził wszędzie Placyda; byli najprzód na targu wołowym, zaszli potem na inny plac, gdzie się odbywała sprzedaż cieląt i świń, później na targ warzywny i domowego drobiu, nie pominęli nawet straganów ze wstążkami, gdzie gromadki wieśniaczek z widoczną przyjemnością spoglądały na pięknego wachmistrza.

Zaszli także do żandarmeryi i na probostwo, gdzie ksiądz pleban przyjął ich bardzo uprzejmie, poczęstował tabaką i przypomniał kawalerowi legii honorowej owe czasy, kiedy go przygotowywał do pierwszej komunii.

Na zakończenie wstąpili jeszcze do kawiarni, gdzie jakby umyślnie, wisiało na ścianach kilkanaście rycin, przedstawiających sceny z afrykańskiej kampanii. Placyd musiał więc na usilne żądanie wuja, wyjaśniać te obrazki, namalowane przez jakiegoś wędrownego bazgracza.

Wywiązał się też z tego zadania jak mógł najlepiej. Ku powszechnemu zadowoleniu opowiedział wzięcie Somali, bitwę pod Isly, oblężenie El-Agua i wiele innych drobniejszych potyczek. Liczni goście kawiarniani hucznemi oklaskami przyjmowali każdy ustęp jego opowiadania, a ojciec Lorin, słuchając tego wszystkiego, nie posiadał się z radości.

Krótko mówiąc, wachmistrz odbył w tym dniu prawdziwie tryumfalny pochód, tem bardziej, niż on sam, cieszył się stary Pascal, który słusznie mógł był powiedzieć, że dnia nie zmarnował, bo oprócz doznanej przyjemności, z wielką korzyścią sprzedał i kupił woły.

XVI.

Noc już prawie była, kiedy ojciec Lorin pomyślał, że już wielki czas powracać do domu.

— Ile to te wizyty czasu zabierają! — mówił do Placyda — a i tak nawet połowy znajomych naszych nie odwiedziliśmy. Chciałem cię przedstawić doktorowi Pradel, który cię leczył, jak byłeś dzieckiem jeszcze.

— Pójdziemy do niego innym razem — odrzekł Placyd.

— To się rozumie!

Wstąpili do zajazdu, Pascal wsiadł na konia i puścili się w drogę.

Nie upłynęło jeszcze dziesięć minut, kiedy spostrzegli pędzącego ku nim, również na koniu, młodego wieśniaka, w którym Pascal, pomimo zmroku, poznał niebawem Piotrusia.

— Kolego — rzekł do Placyda — to właśnie ów Piotruś, którego tak pragnąłeś poznać.

Piotruś schylony na siodle, blady, niespokojny, zachęcał konia do szybkiego jeszcze biegu.

Kiedy mijał naszych podróżnych, Pascal zawołał nagle:

— Oho, Piotrusiu!

Młodzieniec obejrzał się i silną dłonią powstrzymał konia.

— Dokąd jedziesz?

— Do Saint Alvere... Gdybyście wiedzieli! Matka moja umierająca!... Muszę zabrać z sobą doktora Pradel.

— Zaczekaj no, chłopcze! — mówił dalej Pascal. — Powiadasz więc, że matka twoja zachorowała?...

— Ah! — odparł Piotruś niecierpliwie. — Nie ma czasu do stracenia... trzeba ją ratować!

Spostrzegł teraz Placyda; domyślił się zaraz, że to brat Milki, ale nie przemówił do niego ani słowa.

Zawrócili i po chwili stanęli przed mieszkaniem doktora.

Piotruś i Pascal weszli do domu, Placyd został przy koniach. Doktor jadł właśnie obiad, ale wstał natychmiast od stołu, kazał osiodłać swego konia, wziął płaszcz i kapelusz i wyszli na ulicę. Tu Pascal przedstawił mu swojego siostrzeńca, z którym poczciwy lekarz kilka serdecznych słów zamienił.

Piotruś tymczasem przechadzał się po ulicy, strącając z drogi kamienie, i od czasu do czasu bijąc się rozpaczliwie w czoło.

Nareszcie przyprowadzono konia doktorowi. Ruszyli w drogę, prawie nie rozmawiając wcale aż do La Queyrie.

Placyd miał kilkakrotnie sposobność wszczęcia rozmowy z Piotrusiem, wobec jednak głębokiej boleści młodzieńca, nie chciał go drażnić.

Byli już na miejscu; Pascal zatrzymał konia.

— Rozstaniemy się tutaj — rzekł. — Odwagi, Piotrusiu, nie trzeba tracić nadziei.

— Pozwól stryjaszku — przerwał mu Placyd — wsiądę na konia i pojadę z panami. Nie chciałbym zostawić Milci w niepokoju; pojadę więc, dowiem się i wrócę z panem doktorem.

— Dobrze, chłopcze. Jedź i powracaj z dobrą wiadomością.

Strzelec afrykański wskoczył na siodło i trzej jeźdźcy ruszyli z kopyta, podczas gdy stary Pascal wstępował zwolna po wzgórzu, gdzie już wśród krzaków zaczęły przyświecać świętojańskie robaczki

XVII.

Księżyc jasno przyświecał, a drzewa i pola kąpały się w łagodnych promieniach światła, nadające każdemu przedmioty dziwaczne jakieś kształty. W powietrzu cisza głęboka, tylko strumyk szemrał cichaczem wijąc się koło drogi, tylko świerszcze polne zawodziły swe żale, ukryte gdzieś wśród ... kwiecistych.

Kopyta koni tentniały po twardej drodze; doktor jechał przodem, w płaszcz otulony, tuż za nim, z odkrytą głową, pospieszał Piotruś obok Placyda.

Nikt słowa nie przemówił. Od czasu do czasu tylko Piotruś popędzał konia, który wstrząsał grzywą, i biegł dalej.

Upłynęła tak może godzina czasu.

Nareszcie Placyd przysunął się do Piotrusia i zapytał go półgłosem, czy jadąc do Saint-Alvere, wstępował do la Queyrie.

— Nie miałem czasu — odpowiedział ze smutkiem Piotruś. — Musiałem się spieszyć, bo choroba gwałtownie się rozwijała.

— Daleko mamy jeszcze?

— Za pół godziny będziemy na miejscu.

— Spieszmy więc! — zakończył Placyd.

Spiął nogami konia i puścił się galopem; za jego przykładem poszli i dwaj drudzy.

Przez resztę drogi nie rozmawiali już wcale.

Matka Piotrusia zamieszkiwała chatkę ulepioną z gliny, w pewnem oddaleniu od wioski Vers.

W jedynem oknie chaty błyszczało blade światełko ogarka.

Piotruś zeskoczył pośpiesznie z konia. Drzwi się uchyliły.

— Czy to wy, panie Piotrze? — zapytał go mały chłopczyna.

— Ja. Cóż matka?

— Śpi.

Piotruś wszedł na palcach do izby; doktor i Placyd szli za nim z równą ostróżnością. Przy łóżku chorej siedziała niemłoda już kobieta, sąsiadka najbliższa, matka owego chłopca, który im drzwi otworzył.

— Cicho! — szepnęła. — Nie rozbudzajcie jej.

— Jak dawno zasnęła? — spytał doktor.

— Będzie już może godzina, może więcej, panie doktorze — odpowiedziała kobieta — a przedtem miała straszny atak, którego myślałam, że już nie przeżyje.

Pan Pradel pochylił się nad chorą, której blada, koścista twarz wyraźnie odznaczała się na zżółkłej poduszce. Piotruś powstrzymał oddech, chcąc poznać z oblicza doktora, jaki czeka go wyrok: ale oblicze to nie zdradziło się niczem, biedny młodzieniec nic z niego dowiedzieć się nie mógł.

— I cóż? — zapytał z trwogą po chwili.

Pan Pradel odszedł z nim parę kroków i rzekł poważnie:

— Odważnie, mój przyjacielu... proszę cię, bądź mężczyzną. Nie ma żadnej nadziei.

Piotruś wydał jęk rozpaczy.

— Umarła! — zawołał. — Umarła!

— Jeszcze nie, ale nic już jej nie uratuje. Ten stan nieczułości, w jakim się znajduje, jest tylko ostatniem dogorywaniem.

— Boże, mój Boże! Moja matka... moja matka! Ja ją muszę ocalić!

Doktor wzruszył nieznacznie ramionami i wziął rękę nieszczęśliwego chłopca.

— Uspokój się — rzekł do niego z ojcowskiem współczuciem — trzeba się poddać woli Boskiej.

— Moja matka... moja biedna matka! — powtarzał Piotruś głosem ponurym. — Ah, już ona mnie nie zobaczy, nie usłyszy! Matka moja nie żyje... nie żyje!

(Ciąg dalszy nastąpi)

ŻARTY.

CO TO JEST SAMOCHÓD?

Dwóch chłopców niemieckich rozmawia na szosie o samochodach.

— Co to jest właściwie samochód? — pyta jeden. — Chciałbym go wreszcie zobaczyć...

W tej chwili nadjeżdża „taf, taf", i drugi chłopiec, podcięty przez koło samochodu, objaśnia ze ziemi:

— To był właśnie samochód!

SPRYTNA SŁUŻBA.

— Janie, jeżeli kto przyjdzie, to powiedz, że będę w domu o dwunastej.

W godzinę potem:

— No, był kto?

— Było trzech żebraków, powiedziałem, żeby przyszli o dwunastej.

NASZE DZIECI.

Janek przychodzi ze szkoły do domu i opowiada ojcu o swoim koledze Wicusiu:

— Ale wiesz tatusiu, ten Wicuś to jednak ma dobrze, że on kurkiem patrzy!

Ojciec: Ależ chłopcze, jakto możesz coś podobnego mówić.

Janek: Tak tatusiu, gdy nauczyciel się go o co zapyta, to on sobie odczyta, a nauczyciel tego wcale nie spostrzeże.

NIEZWYKŁA MONETA.

— Byłeś, Janie, po odbiór tych pieniędzy?

— Byłem.

— Dostałeś?

— Dostałem.

— No, przecież choć przed świętami sumienie go ruszyło.... No, dawaj.

— Kiedy nie śmiem....

— A coś dostał?

— Dwa razy w gębę i raz w kark.

POWÓD.

Gospodarz wytrzepał skórę parobkowi, ten zaskarżył go do sądu.

— I bardzo cię zbił — pyta sędzia.

— O, bardzo, prześwietny sądzie — lamentuje parobek.

— Ale, jakiż gospodarz miał do tego powód?

— O, prześwietny sądzie, on nie miał powodu tylko gruby, sękaty kij...

NIE RĘCZY ZA NIEGO.

— Moja gosposiu, czy ten kogut zdrów?

— A jużci zdrów.

— Ręczycie za niego?

— Pani sobie dobra! Dziś za rodzonego męża nie można ręczyć, a cóż dopiero za głupiego koguta..

WYRAŻENIE.

— Słychać, że X. doszedł do majątku?

— Tak, był cztery razy żonaty i tak jakoś przeposagował się przez życie.